

2/2015/2016

The Kraszak Times



Kochani!

Z okazji zbliżających się Świąt Bożego Narodzenia pragniemy złożyć Wam najserdeczniejsze życzenia.

Niech te święta będą wyjątkowe.

Życzymy ciepła w sercu oraz zimnego, białego śniegu za oknem, wspaniałej, rodzinnej atmosfery,

cudownych chwil relaksu przy blasku choinki i mocy prezentów.

Niech Nowy Rok będzie dla Was dobrym czasem.

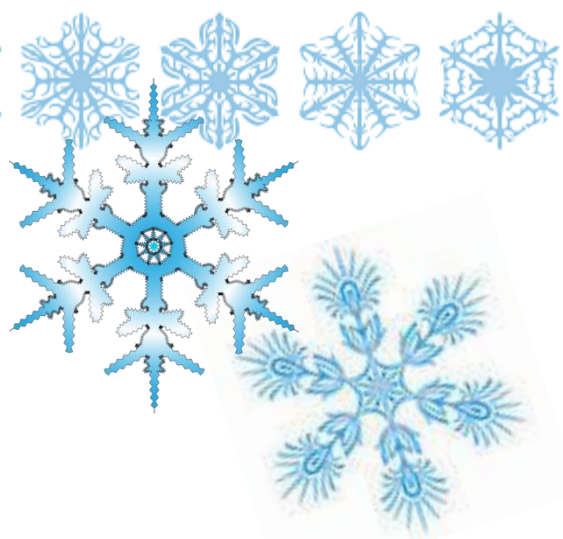
Wróćcie do szkoły zmotywowani, z nową energią do dalszej nauki i pracy.

Wesołych Świąt!!!

Zespół redakcyjny



W numerze:



- Debiut naszej Absolwentki – **Alicji Kielczewskiej**
- **Maciej Szyc** „Co z tą szkołą?”
- **Patrycja Kret** „Co nam w duszy gra? – Międzynarodowy Konkurs Pianistyczny im. Fryderyka Chopina
- **Michał Grzywaczewski** „Oczekiwanie”
- **Kacper Truszczyński** „Śladami przeszłości”
- **Natalia Małaszuk** „Tylko nudna szkoła?”
- **Aleksandra Niedźwiedz**, **Katarzyna Niestoruk** „Zło dobrem zwyciężaj” – wywiad z p. Wojciechem Sumlińskim
- **Tomasz Panasiuk** „Niezwyczajne historie zwykłych ludzi” – recenzja filmu „Most szpiegów”
- **Julia Ruszkowska**, **Emilia Samociuk** „W pracowni indywidualności” – wywiad z p. Sylwią Kalinowską
- **Michał Grzywaczewski** „Jesień”
- **Emilia Jagiełło** – przepis na Kannelbular
- **Michał Grzywaczewski** „Chory”
„Teatr”



Literacki debiut ubiegłorocznej absolwentki szkoły Alicji Kielczewskiej

Na łamach „Gościńca Białskiego” (nr 57, wrzesień 2015), w części czasopisma zatytułowanej „Prezentacje Literackie Podlaskiego Kwartalnika Kulturalnego”, ukazały się wiersze Alicji Kielczewskiej, w poprzednim roku szkolnym uczennicy kl. 3b. Na literacki debiut naszej absolwentki składa się zestaw 16 wierszy. Alicja studiuje obecnie stomatologię na Uniwersytecie Medycznym w Lublinie. Gratulujemy jej udanego debiutu i życzymy dalszych sukcesów literackich i powodzenia na studiach. Niżej prezentujemy dwa teksty wybrane ze zbioru.

spotkanie towarzyskie

balansuję na krawędzi
między bólem a szaleństwem
unikając pytań
o życie osobiste
wzruszam ramionami
wymiguję się uśmiechem

nauczyłam się umierać
po cichu

wspomnienie dzisiejszego dnia

pochmurne niebo
przegląda się z lubością
w brudnych lustrach kałuż

stoi się dzień cały
w szarości deszczu
w granaty burz
przyprószy błękitem
gdzieniegdzie

w tym sezonie modny jest
kolor ulewy



Co z tą szkołą?



Powrót do ośmioletniej szkoły podstawowej i czteroletniego liceum oraz podniesienie wieku szkolnego do lat 7- tak w skrócie można opisać nową reformę szkolnictwa planowaną przez obecny rząd. Według minister edukacji Anny Zalewskiej rodzice (o ile specjalista potwierdzi, że dziecko ma predyspozycje do uczestniczenia w środowisku szkolnym) ponownie będą mogli decydować, czy chcą posłać swoje dziecko do szkoły w wieku 6 czy 7 lat. Identyczny system funkcjonuje w Szwecji, gdzie wiek szkolny wynosi 7 lat, ale rodzice mogą posłać dziecko w wieku 6 lat.

Od 7. roku życia dzieci rozpoczynają naukę również w Finlandii, która ma jeden z najlepszych systemów edukacji na świecie. Posyłanie dziecka do szkoły w późniejszym wieku niewątpliwie pozwala mu na poświęcenie wolnego czasu na zabawę, a także pomaga w pełni rozwinąć się emocjonalnie, co później pomoże mu w łatwiejszym przyswajaniu wiedzy. Warto jednak przyjrzeć się krajom takim jak Niemcy, Wielka Brytania czy Włochy. Brytyjskie dzieci idą do szkoły już w wieku 5 lat ! Społeczeństwa tych krajów starzeją się, to samo dzieje się w Polsce.

Czy polskie dzieci także nie powinny zaczynać edukacji wcześniej, by zacząć pracować na gospodarkę naszego kraju i móc utrzymać coraz szybciej starzejących się rodziców, czyli prawdopodobnie nas, obecnych licealistów w przyszłości? Zdania są podzielone. Podobna dyskusja toczy się na temat likwidacji gimnazjów i powrotu do ośmioletniej szkoły podstawowej. Tu jednak widocznych jest więcej zwolenników niż przeciwników. Ośmioletnia szkoła podstawowa na pewno pomoże ograniczyć młodym osobom stres związany ze zmianą środowiska, jednak śledząc różne strony w Internecie można spostrzec, że duża ilość gimnazjalistów ma obawy związane z tą reformą. Większość z nich używa argumentu mówiącego o tym, że w gimnazjum można zawrzeć niesamowite przyjaźnie i że jest to przyspieszona lekcja życia, której jednak wielu rodziców wolałoby uniknąć. Z politycznego punktu widzenia czteroletnie liceum, w którym tak jak w starym systemie uczyliby się najlepsi uczniowie, połączone z doskonałym programem nauczania, pozwoliłoby Polsce stworzyć prawdziwą, nowoczesną elitę, która w przyszłości zarządzałaby naszym państwem. Politycy, szefowie korporacji, naukowcy, biotechnolodzy z bardzo dobrym wykształceniem nie musieliby szukać ścieżek rozwoju za granicą. W połączeniu z doskonałą infrastrukturą i godziwym wynagrodzeniem zostawaliby w Polsce pracując na nasz wspólny dobrobyt i przyszłość młodszych pokoleń.

Wzorem Finlandii, Szwajcarii czy Izraela, inwestując w edukację, przemysł technologiczny, zbrojeniowy, chemiczny czy farmaceutyczny można zatrzymać ucieczkę młodych i wykształconych ludzi, tworząc doskonałe miejsca pracy i rozwoju oraz sprawiając, byśmy my, młodzi ludzie nie musieli uciekać z kraju, tylko normalnie w nim żyć, rozwijać się i zakładać rodziny.

Autor: Maciej Szyc

Muzykiem nie można się stać z dnia na dzień, to proces. Tylko najbardziej wytrwali artyści, którzy będą mieli siłę, by zmierzyć się z własnym wnętrzem, osiągną mistrzostwo
– Nelson Goerner

Historia Konkursu

Zaistnienie Konkursów Chopinowskich w Warszawie zawdzięczamy dwóm panom – postaciom znanych z lekcji historii. Pierwszy przyczynił się do powstania konkursu świadomie, a był nim pianista, profesor Konserwatorium Warszawskiego – Jerzy Żurawlew. Drugi, działając w innej sprawie, spowodował, że konkursy w latach 20- tych XX wieku zaistniały w historii muzyki i trwają do dziś, a był nim Naczelnik Państwa – Marszałek Józef Piłsudski.

Pomysł zorganizowania Konkursów Chopinowskich narodził się w... pociągu. W roku 1923 profesor Konserwatorium Warszawskiego – Jerzy Żurawlew jechał pociągiem z Białegostoku do Warszawy. Siedząc w przedziale, usłyszał rozmowę dwóch młodzieńców, którzy wyśmiali twórczość Chopina twierdząc, że: „jest cikliwa, łzawa, rozbraja duszę, nie wolno jej słuchać ani grać”, a następnie przeszli do zacieklej rozmowy o sporcie.

Młodzieńcy prześcigając się wzajemnie w wymienianiu nazwisk najznakomitszych sportowców Europy i Świata oraz ich rekordów, przypadkowo podsunęli profesorowi Jerzemu Żurawlewowi pomysł zorganizowania w Polsce „sportowej imprezy Chopinowskiej”. Pomysł ten nie przypadł wszystkim do gustu i pomimo wielu przeszkód na drodze do zorganizowania tejże „imprezy sportowej”, odbyła się ona w niedzielę 23 stycznia 1927r. o godzinie 12:00 pod nazwą: „Międzynarodowy Konkurs Pianistów im. Chopina”, a wszystkie Konkursy Chopinowskie od pierwszego począwszy były transmitowane przez Polskie Radio. W I konkursie Chopinowskim jurorami byli wyłącznie Polacy, a czołowe nagrody zdobyli

pianiści słowiańscy- Rosjanie i Polacy:

I - Lew Oborin – ZSRR

II – Stanisław Szpinalski - Polska

III – Róża Etkin – Moszkowska – Polska.

Odrobinę racji mieli dwaj młodzieńcy, którzy rozmawiali w pociągu jadącym z Białegostoku do Warszawy, i których słyszał prof. Żurawlew.

Dlaczego?



Fryderyka Chopina w tym czasie grano „byle jak”. Ktokolwiek nauczył się trochę grać na fortepianie, sięgał po twórczość kompozytora. Chopin wśród pianistów był popularny, ale młodzi, początkujący adeptci pianistyki nie byli zdolni zagrać właściwie walca, preludium, młodzieńczych utworów kompozytora, nie mówiąc już o polonezach, etiudach, scherzach... Chopina grano za wolno, sentymentalnie, trudniejsze fragmenty opuszczano, a gdy utwór był za długi – skracano go. Znakomite wykonania można było usłyszeć tylko w Konserwatorium Muzycznym lub Filharmonii

Warszawskiej.

Dotychczas Konkurs Chopinowski wygrało tylko czterech Polaków: **Halina Czerny-Stefańska (1949)**, **Adam Harasiewicz (1955)**, **Krystian Zimerman (1975)** i **Rafał Blechacz (2005)**.

XVII Międzynarodowy Konkurs Pianistyczny im. Fryderyka Chopina w Warszawie

1 października tego roku rozpoczął się XVII Międzynarodowy Konkurs Pianistyczny im. Fryderyka Chopina, zainaugurowany przez wybitnych argentyńskich pianistów Marthe Argerich oraz Nelsona Goernera. **Martha Argerich**, triumfująca na Konkursie

Chopinowskim w 1965 roku, kiedy to swój pierwszy występ konkursowy rozpoczęła ucieczką sprzed wejścia na estradę (później w kularach mówiono, że 24-latką uciekała przed zwycięstwem, ale sukces i tak ją dopadł). Zwróciła na siebie uwagę pierwszym dotknięciem klawiatury, wyzwającym z fortepianu dźwięki o „przedziwnej magnetycznej sile”. W tym roku w jury Konkursu Chopinowskiego zasiadła już po raz czwarty. W jej wykonaniu usłyszeliśmy *Koncert fortepianowy a-moll op. 54* Roberta Schumanna. Artystka wykonuje arcydzieło niemieckiego kompozytora od jedenastego roku życia, na płytach nagrała je czterokrotnie. Natomiast Nelson Goerner jest zdobywcą wyróżnienia w XIII Konkursie Chopinowskim.

Do konkursu w Filharmonii Narodowej zakwalifikowało się 84 pianistów z 20 krajów, w tym 14 Polaków. Do finału przeszedł tylko jeden Polak, 20-letni **Szymon Nehring z Krakowa**.

Przez pierwsze dwanaście lat grania na fortepianie nie lubił ćwiczyć, ale zawsze dużą frajdę sprawiało mu koncertowanie. „*Ja się przygotowywałem stosunkowo krótko, bo rok, stricte do konkursu. Niektóre utwory miałem wcześniej przerobione, więc nie było tak, że cały repertuar przygotowywałem w ciągu jednego*

roku. Na pewno te najtrudniejsze pozycje, jak sonaty, 12 etiud było przygotowywane przez rok. Może jakbym się przygotowywał dłużej, to efekt byłby lepszy, ale zdecydowałem się bardzo późno, że pojedę na konkurs. Myślę, że efekt jak na rok przygotowań jest zaskakująco dobry” – mówił Szymon Nehring.

Zwycięzcą XVII Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. Fryderyka Chopina został **Seong-Jin Cho** z Korei Południowej. Laureat przyznał, że o występie w Warszawie zaczął marzyć w roku 2005, gdy miał 11 lat. Na konferencji prasowej po ogłoszeniu wyników Seong-Jin Cho powiedział, że 10 lat temu usłyszał zwycięzcę ówczesnego konkursu, Rafała Blechacza, który stał się jego muzycznym idolem. Koreański pianista przyznał, że rywalizacja była dla niego trudna i dopiero w finale konkursu poczuł się spokojniejszy. W finale uzyskał on od 17 jurorów razem 143 punkty na 170 możliwych.

Tabela z punktacją uzyskaną przez danego finalistę od wybranego jurora :

	DA	MA	Y	TD	AE	PE	NG	AH	AJ	GO	JO	PP	EP	KP	JR	WŚ	DY
Mr Seong-Jin Cho	10	9	9	8	9	1	9	6	9	9	10	9	9	9	9	9	9
Mr Aljoša Jurinić	2	4	4	2	3	3	2	6	3	6	1	1	1	1	5	1	5
Ms Aimi Kovayashi	1	6	5	7	5	2	5	2	8	1	5	4	6	6	3	5	3
Ms Kate Liu	7	4	6	-	3	5	5	9	10	9	9	10	8	9	8	10	8
Mr Eric Lu	9	5	6	-	4	8	8	3	6	4	8	8	8	8	4	7	7
Mr Szymon Nehring	4	4	3	1	3	4	2	2	5	2	6	5	2	4	2	5	4
Mr Georgijs Osokins	3	4	2	4	5	4	2	5	2	5	3	2	2	1	7	4	6
Mr Charles Richard - Hamelin	8	9	9	8	9	8	10	7	6	8	7	6	7	10	9	8	9
Mr Dmitry Shishkin	6	5	4	5	5	7	6	7	3	7	2	3	5	1	6	1	2
Mr Yike (Tony)Yang	5	5	5	-	8	6	6	2	2	3	4	7	6	6	1	5	2

Legenda :

DA -Dmitri Alexeev
MA - Martha Argerich
Y - Yundi
TD - Thai Son Dang
AE - Akiko Ebi
PE - Philippe Entremont
NG - Nelson Goerner
AH - Adam Harasiewicz
AJ - Andrzej Jasiński
GO - Garrick Ohlsson
JO -Janusz Olejniczak
PP - Piotr Paleczny
EP - Ewa Pobłocka
KP - Katarzyna Popowa-Zydroń
JR - John Rink
WŚ - Wojciech Światała
DY - Dina Yoffe



W XVII Konkursie Chopinowskim nagrody uzyskali :

- Seong- Jin Cho z Korei Południowej – 30 tys. euro i złoty medal za I miejsce.
- Charles Richard-Hamelin z Kanady - 25 tys. euro i srebrny medal oraz Nagrodę Krystiana Zimermanna za najlepsze wykonanie sonaty - 10 tys. euro.
- Kate Liu ze Stanów Zjednoczonych - 20 tys. euro i brązowy medal, a dodatkowo Nagrodę Polskiego Radia za najlepsze wykonanie mazurków – 5 tys. euro.
- Eric Lu ze Stanów Zjednoczonych - 15 tys. euro.
- Yike (Tony) Yang z Kanady - 10 tys. euro.
- Dymitr Szyszkin z Rosji - 7 tys. euro.

Tegoroczny konkurs zakończył się 23 października wielkim sukcesem Koreańczyka Seong – Jin Cho, lecz moje największe uznanie zdobyło dwoje finalistów: Kate Liu za swą wrażliwość podczas gry, a także Szymon Nehring, który włożył całe swoje serce, by zagrać Koncert E– Minor Op. 11.



*„Posługujemy się dźwiękami,
aby tworzyć muzykę,
tak jak posługujemy się słowami,
aby tworzyć język”.*
Fryderyk Chopin

Autor: Patrycja Kret

Oczekiwanie

Tristanie, gdziekolwiek jesteś
i gdzie nie ma Ciebie
ja szukam Twych śladów,
ja szukam Ciebie.

Romeo ust moich
i mojego ciała
ja czekam na balkonie
jak tragedia przewidziała.

Ale was obydwu
nie ma w życiu moim,
gdzieś zabrakło wam szczęścia,
nie wróciliście z wojen.

Nie chcecie Julii,
ani Izoldy Jasnowłosej,
ani w sukni i trzewiczkach,
ani nagiej i bosej.

Nie spieszycie do mnie,
nie wracacie do domu,
bo „Po co się śpieszyć?
Nie zależy na nas nikomu”.

Nie pamiętacie o mnie
moi amanci drodzy,
mam nadzieję, że przypomnicie sobie,
że zgubiliście kogoś po drodze.

Michał Grzywaczewski



Śladami przeszłości

Są tam wszyscy - starsi i młodszy, kobiety i mężczyźni, wysocy i niscy. Są grupą ludzi, których łączy przede wszystkim pasja: do historii, do wiedzy, do poznania przeszłości w nieco innej formie niż ta, do której jesteśmy przyzwyczajeni. Nie ślęczą nad książkami przez wieczory, aby później zdać sobie relację z tego, co odkryli. O nie, to zdecydowanie nie oni. Grupa rekonstrukcyjna „Fortis” uczy się poprzez walkę, obozowe życie i... kompletowanie ekwipunku.



Czym jest więc Grupa Rekonstrukcji Historii „Fortis”? Jest to grupa pasjonatów zebranych przy wspólnej idei odtwarzania średniowiecznego życia Europy.

Jak wygląda funkcjonowanie takiej grupy? Zaczynamy od kompletowania ekwipunku. Każdy kto dołącza do grupy kompletuje swój strój, zbierając informację na jego temat od archeologów, z wykopalisk, średniowiecznych opisów i ikonografii. Jak więc widać, bezpośrednie obcowanie z historią przychodzi już na samym rozpoczęciu naszej działalności w szeregach grupy. Kobiety swoje stroje szyją z naturalnych materiałów, takich jak jedwab, len czy wełna. Mężczyźni najczęściej zlecają wykonanie pancerzy specjalistom, jednak zdarzają się również tacy, którzy potrafią sami wytworzyć cały swój ekwipunek - takim kimś jest należący do grupy miłośnik kultury japońskiej, który samodzielnie stworzył kompletną zbroję samurajską!

Co dalej? A dalej trening, trening i jeszcze raz trening. W końcu nie każdy z nas potrafi na co dzień uderzać mieczem z odpowiednią precyzją tak, aby trafić w przeciwnika omijając jego tarczę, ewentualnie strzelać z łuku i trafiać wprost do celu.

Poza zwykłymi sparingami umiejętności można szlifować na turniejach, na które Fortisy często się wybierają. Ostatnim takim wydarzeniem, w którym uczestniczyła grupa, był V Turniej Rycerski Śladami Braci Dobrzyńskich, przy czym warto wspomnieć, że tytułowi bracia dobrzyńscy byli jedynym w historii polskim zakonem rycerskim. Nasze Fortisy sprawdziły się tam w wielu konkurencjach i bardzo sobie chwalą pobyt na turnieju.



„Rekonstrukcja to nie hobby - to styl życia”, jak to określiła jedna z członkiń grupy. Może część z was, Drodzy Czytelnicy, po przeczytaniu tego artykułu zainteresuje się rekonstruowaniem historii w nieco innej formie niż poprzez uczenie się na lekcje historii. Zainteresowanych odsyłam na Facebooka grupy, a także ich stronę: www.fortisy.pl

Autor: Kacper Truszczyński



Tylko nudna szkoła?

Z natury jestem osobą, która bardzo szybko się angażuje i nie potrafi usiedzieć w miejscu, nic nie robiąc. W gimnazjum brałam udział we wszystkich działaniach organizowanych w szkole. Kiedy przyszedłam do liceum, byłam bardzo zaskoczona. Nie widziałam akcji przeprowadzanych przez jakiekolwiek szkolne koło zainteresowań. Wiedziałam o istniejących szkolnych drużynach sportowych, ale to nie dla mnie. Brałam udział tylko w zajęciach z historii w ramach projektu „Wykorzystaj swoją szansę”. Bardzo się zdziwiłam. Okazało się, że wystarczyło tylko trochę poszukać, poszperać, wysłuchać ogłoszeń dyżurnych albo przeczytać kilka informacji wywieszonych w gablotkach na korytarzu. Nasza szkoła daje wiele możliwości rozwoju w różnych dziedzinach.

Na stronie internetowej naszej szkoły znalazłam informacje o zajęciach dodatkowych – zarówno rozszerzających, jak i wyrównawczych – niemalże z każdego przedmiotu. Nie jest to jednak jedyna możliwość rozwijania swoich zainteresowań w szkole. Jeżeli chodzi o osiągnięcia sportowe, nasza szkoła wyróżnia się wśród innych. Nauczyciele wychowania fizycznego dbają o dobrą kondycję swoich uczniów. Prowadzą zajęcia koszykówki, siatkówki, piłki ręcznej, pływania. Pani profesor Anna Chudzik prowadzi także fitness. Między innymi dzięki zaangażowaniu naszych nauczycieli nasza szkoła od 10 lat jest niekwestionowanym zwycięzcą w licealiadzie. O naszą kondycję dbają nie tylko wuefiści. W naszej szkole istnieje Klub Rowerowy, którego opiekunem jest pan profesor Andrzej Kurkowski.

Nie myślcie, że nasza szkoła rozwija się tylko pod względem sportu. Pani profesor Małgorzata Tokarska prowadzi grupę teatralną „Pod miłorzębem”, pan profesor Stefan Wrzosek – szkolne koło teatralne. O nasze wychowanie kulturalne dba także pani profesor Elżbieta Mirek, która prowadzi Szkolny Klub UNESCO oraz pani profesor Jolanta Szołucha, prowadząca Koło Przyjaciół Biblioteki. Talenty muzyczne „wyławia” oraz angażuje w życie szkoły profesor Stanisław Mikołajczyk, który jest opiekunem zespołu muzycznego oraz chóru szkolnego. Występy podopiecznych naszego nauczyciela wiedzy o kulturze mogliśmy niejednokrotnie oglądać podczas różnych imprez w szkole. Miłośnicy kina również znajdą coś dla siebie. Książd Sławomir Pleszczyński w drugim semestrze tego roku szkolnego będzie prowadził Szkolne Koło Filmowe. Jeżeli o katechetach mowa, warto wspomnieć o pani profesor Teresie Kulickiej, która dba o duchowy rozwój uczniów, bowiem prowadzi Szkolne Koło Biblijne.

A co z pozostałymi dziedzinami nauki? Profesor Ireneusz Maj organizuje w naszej szkole Internetową Grę Giełdową. Prowadzi także zajęcia dotyczące ekonomii oraz daje możliwość nauki gry w brydża (II semestr 2015/2016).

Jeśli, podobnie jak ja, jesteś społecznikiem i lubisz robić coś, co sprawi przyjemność innym, z pewnością zainteresuje Cię działalność Szkolnego Koła PCK, które między innymi wspiera Schronisko „Azyl” i organizuje wiele innych charytatywnych akcji. Opiekunem SK PCK jest pani profesor Dorota Migasiuk.

Zaskakujące, prawda? Czasami sama zastanawiam się, jak mogłam nie zauważyć, co dzieje się w mojej szkole. Przecież tego jest tak dużo... Jestem pewna, że każdy znajdzie coś dla siebie. Drogi Czytelniku! Porozmawiaj o tym ze swoim wychowawcą lub innym nauczycielem, możesz też zebrać grupę osób o podobnych do twoich zainteresowaniach, i zaproponuj zajęcia, w których Ty na pewno byś się odnalazł/-a. Myślę, że nasi pedagodzy są otwarci na propozycje uczniów i z pewnością pomogą im rozwijać swoje zainteresowania, umiejętności.

Jesteście ciekawi, co dzieje się na wymienionych przeze mnie wyżej zajęciach? Zapytajcie opiekunów. Na pewno z przyjemnością przyjmą Was „pod swoje skrzydła”. Nie zastanawiajcie się dużą ilością nauki czy innych zajęć. Nie macie na nic czasu? Jesteście pewni? No właśnie... Zaangażuj się, poczuj się potrzebny i nie narzekaj, że w Twojej szkole nic się nie dzieje. Zrób coś, a docenisz pracę innych.

„Bo jak nie my, to kto?...”

Autor: Natalia Małaszuk

W szkolnej auli 9.11.2015 r. odbyło się spotkanie autorskie z dziennikarzem śledczym i autorem wielu poczytnych książek, panem Wojciechem Sumlińskim. W spotkaniu uczestniczyli uczniowie klas II g i II c. Zgodnie z obietnicą publikujemy wywiad, który z naszym Gościem przeprowadziły uczennice klasy humanistycznej.

Zło dobrem zwyciężaj - WYWIAD Z WOJCIECHEM SUMLIŃSKIM

Wiemy, że od kilku lat toczy się proces przeciwko Panu. Czy mógłby nam Pan przybliżyć, o co został Pan oskarżony, jak przebiega śledztwo i czy rozprawy mają negatywny wpływ na Pana życie?

W roku 2008, 13 maja do mojego mieszkania weszli funkcjonariusze ABW, którzy zabrali mi wszystkie dokumenty dotyczące wszystkich spraw jakimi się zajmowałem. W sprawie księdza Popiełuszki, tajnych akt „Masy”, wojskowych służb informacyjnych i wielu, wielu innych. Zostałem oskarżony o tzw. płatną protekcję. Jeden oficer wojskowych służb informacyjnych zeznał prokuraturze, że miałem mu proponować pozytywną weryfikację w komisji weryfikacyjnej WSI, w zamian za to miałem żądać od niego pieniędzy. Ten oficer twierdził, że nie żądałem od niego wprost, tylko że był jeszcze jeden pośrednik, który występował w imieniu moim. Na potwierdzenie swoich słów ten oficer (który już nie żyje, bo zmarł w 2011 r. - pułkownik Leszek Tobiasz) miał tylko i wyłącznie swoje słowa. Później się okazało, że ten człowiek był przestępcą, skazanym prawomocnym wyrokiem sądowym, że miał w czasie kiedy mnie oskarżał trzy sprawy w prokuraturze garnizonowej w Warszawie. Jedna z nich była założona o to, że oskarżył dwóch innych oficerów Wojska Polskiego o przestępstwo, którego oni nigdy nie popełnili (że byli szpiegami na rzecz Rosji). Później okazało się, że to było kłamstwo. Potem prokuratura skierowała akt oskarżenia przeciwko niemu. Ten sam człowiek płk. Leszek Tobiasz zajmował się inwigilacją Kościoła Katolickiego,

był szantażystą kilku biskupów polskich, był człowiekiem, który z natury swojego zawodu zajmował się różnymi bardzo pokretnymi działaniami, które niestety zniszczyły niejednego człowieka. W trakcie mojego procesu, który trwa już siódmy rok, wyszło na światło dzienne wiele bardzo ciekawych faktów, które pokazały, że cała ta operacja była jedną wielką przestępczą intrygą, w której niestety też pewną (wcale nie marginalną) rolę odegrał były prezydent Bronisław Komorowski, przyjaciel płk. Leszka Tobiasza. Zeznania ostatnich świadków, jednego oficera ABW i jednego współpracownika CBS, pokazały, niczym kropka nad i, jak podła była to intryga. Mój proces trwa już siódmy rok i w tym roku przewidziane są mowy końcowe, więc pewnie w przeciągu 30 dni od nich, powinien zapaść wyrok pierwszej instancji. Wierzę głęboko w to, że będzie to werdykt dla mnie korzystny, bo innego sobie nie wyobrażam. Zakładam, że kiedy prokuratura przegra, to się odwoła, bo to jest za ważna sprawa, żeby się nie odwołała, na kanwie tej sprawy zbudowano wiele karier, wiele awansów itp. Więc na pewno się odwoła, myślę, że ostatecznego wyroku możemy się spodziewać pod koniec roku 2016.

Z perspektywy czasu, bo ukończył Pan inny kierunek, gdyby Pan wiedział, że tak się to wszystko potoczy, czy wybrałby Pan ponownie to, co teraz robi?

To jest pytanie, nad którym wiele razy się zastanawiałem i bardzo ciężko mi na nie

odpowiedzieć. Z jednej strony, jak widzę dzisiaj, w jakim punkcie jestem ja i moja rodzina, to mam bardzo poważne wątpliwości. Ponieważ wszystkie te sprawy, można powiedzieć, w dużej mierze zniszczyły nas. Nie jest tak, że to, co nas spotyka w życiu, nie zostawia w nas śladu. Więc te wszystkie trudne wydarzenia zostawiły wielki ślad. Ja nie jestem tym samym człowiekiem, którym byłem wcześniej, moja żona nie jest tą samą osobą, którą była wcześniej, stała się bardzo nieufna i bardzo zamknięta. Myślę, że i moje dzieci byłby spokojniejsze. Generalnie myślę, że cała ta sytuacja jest trudna i traumatyczna. Mieć „za przeciwnika” służby tajne, to nie ma chyba gorszego przeciwnika. Bo ci ludzie mogą naprawdę bardzo dużo i akurat w naszym przypadku wykorzystali tyle środków i możliwości, żeby nam dopiec, że wystarczyłoby tego na parę żyć. Więc pytanie, czy gdybym to wszystko przewidział, to jest pytanie, które stawiam sobie bardzo często i wciąż nie znajduję odpowiedzi. Z jednej strony, kiedy widzę cenę, jaką zapłaciła za to moja rodzina, myślę, że nic nie było warte. Z drugiej strony, jak spotykam na swoich spotkaniach autorskich dziesiątki, setki, a może więcej ludzi, lub gdy dostaję masę e-maili od czytelników, że im te książki bardzo pomogły, że ktoś miał kryzys, ktoś chciał się poddać i że ta książka pomaga mu podnieść się z jakiegoś upadku, albo zmobilizować się i walczyć w ważnej dla niego sprawie lub wrócić na łono Kościoła, lub zawalczyć o swoją rodzinę, która była w upadku. Jak mam takich deklaracji w formie listów, e-maili, spotkań, bezpośrednich rozmów, setki a może tysiące (ja nigdy tego nie liczyłem), to myślę sobie, że może jednak było warto. To jest to pytanie, które zadaję sobie w książce „Niebezpieczne związki Bronisława Komorowskiego”. Opisuję tam rozmowę z moim przyjacielem, dziennikarzem Telewizji Polskiej, który teraz będzie kierował publicystyką w Telewizji Polskiej, Przemysławem

Wojciechowskim, który mówi do mnie : „Weź już odpuść, bo cię zniszczą do końca (pokazuje mi pana idącego z pieskiem), czy myślisz, że tego pana to obchodzi? Albo tych młodych ludzi? (wskazuje na parę nastolatków przytulonych do siebie). Chłopie, pomyśl o sobie, swojej rodzinie, przestań się szarpać, bo i tak nic nie zmienisz, a zniszczą cię”. Ku mojemu pozytywnemu zaskoczeniu otrzymałem chyba setki e-maili z odpowiedzią „było warto, bo Pana książki pomogły mi, zmieniły moje postrzeganie świata, stały się asumptem do przemyślenia całego życia”. Gdy człowiek otrzymuje dużo takich informacji, to myśli sobie, że jednak rację ma ks. Małkowski, którego film tutaj panie oglądały, księdza, który miał zginąć razem z ks. Popiełuszką, a z którym mam zaszczyt się przyjaźnić do dziś. Który mówi, że nie ma przypadków, wszystko jest po coś i trzeba w to uwierzyć, że wszystkie bitwy życiowe, nawet te przegrane, są po coś, czegoś nauczą i że w życiu nie ma przypadków. Być może trzeba było przejść tę trudną drogę, nie tylko dla mnie, ale również dla całej rodziny, żeby pomóc setkom (a może więcej) ludzi. A może też i dla nas puenta będzie dobra, bo skończą się wszystkie nasze trudne dni.

Czy mógłby Pan podać przykłady prześladowań? Bo wiemy, że tutaj ma pan sprawę.

To się zaczęło w roku 2008. A mianowicie, na początku zakuto mnie w kajdanki. Powiedziałbym, że to absolutnie dyskomfortowe doświadczenie, gdy człowiek nigdy nie chciał zrobić nic złego i ma przekonanie, że nie popełnił żadnego przestępstwa. Przychodzi 13 oficerów ABW, pod bronią, zakuwają człowieka w kajdanki jak przestępcę. Na początku przeszukania mieszkań. Ja wtedy byłem w Warszawie, bo tam mamy mieszkanie, ja tam mieszkam, gdy pracuję. A w tym samym czasie trwało przeszukiwanie mieszkania w Białej Podlaskiej, tutaj, gdzie

mieszkamy na stałe. Absolutnie dyskomfortowe doświadczenie. Trauma dla dzieci, jak im rozpruwano zabawki, szukano Bóg wie czego, bardzo to było trudne. Zaraz po tym, jak mnie zatrzymano na 48 godzin, rozpoczęła się nagonka medialna. Zaczęły atakować mnie różne media: TVN, „Gazeta Wyborcza”, gdzie przedstawiano mój wizerunek w formie stuprocentowo nieprawdziwej. Ale jak się człowiek ma bronić, kiedy nawet tego nie widzi, ponieważ jest zamknięty, zatrzymany? Więc mnóstwo kłamliwych informacji w gazetach, radiu, Internecie. Taka fala poszła. Wiadomo, że jak coś jest przekazane do opinii publicznej, dzisiaj w dobie Internetu, to już się tego nie zatrzyma. To jest tak jakby rozpruć poduszkę i pozwolić, aby całe pierze wyleciało. Człowiek już nie wyłapie wszystkiego, nie ma takiej możliwości. Praca dziennikarza śledczego oparta jest na wiarygodności, więc jak mu się ją odbierze, to nie ma już go. Jednocześnie uderzono w całą rodzinę, bo to był atak, który był skierowany całościowo. Na przykład zaatakowano nas w taki sposób: skąd my mieliśmy pieniądze na dom w Białej Podlaskiej? Sugerowano, że były to nieczyste pieniądze. Jakby ktoś chciał sprawdzić, to działkę dostaliśmy od teściów, którzy mieli ją w swojej rodzinie chyba od stu lat. Przepisali nam pół działki, teść nam postawił dom w stanie surowym, a mieszkanie mieliśmy z kredytu, tak jak większość Polaków, który mieliśmy spłacać 25 lat. Tymczasem przedstawiano nas jako ludzi którzy doszli do czegoś w drodze nieuczciwości, na drodze przestępczej. Uderzano w każdą możliwą rzecz, w jaką tylko mogło się uderzyć. Później, po 48 godzinach, kiedy sąd się nie zdecydował na zatrzymanie, wypuszczono mnie. Dla mnie i dla mojej rodziny dzwonek do drzwi o godzinie 6 rano zawsze będzie się kojarzył z tym, że przychodzą jakieś służby. Więc oni oczywiście wiedzieli o tym, jaka to jest trauma, podsłuchiwali nas. I co w związku z tym robiono? Cztery razy

z Warszawy do Białej Podlaskiej przyjeżdżali panowie z ABW, którzy punktualnie o 6 dzwoniли do naszych drzwi i mówili: „Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego, proszę otwierać”. Oczywiście dzieci przerażone, że ojca znowu zakują w kajdanki, ale oni przyjeżdżali i tylko wręczali zawiadomienie: „Proszę się jutro zgłosić na przesłuchanie do Warszawy”. Tak jakby nie mogli tego wysłać pocztą, albo nawet zadzwonić. Forma telefonu jest formą obowiązującą, tzn. że jak się wezwie kogoś do sądu lub prokuratury przez telefon, to to tak samo obowiązuje. Dlaczego w związku z tym wzywano nas o 6 rano? Po to, aby kojarzyło nam się z godziną zatrzymania, bo wiadomo, że w domu panika, przerażenie. Pamiętam, że jak wychodziliśmy z kościoła, mieszkaliśmy tutaj na Kąpielowej, chodziliśmy sobie do „Bachusa” na lody. Tuż obok przysiadali się panowie (potężni, za każdym razem dwóch innych), w garniturach, ciemnych okularach, jak z amerykańskiego filmu. Zamawiali tylko kawę i tak długo jak myśmy byli, to oni byli. Nic nie mówili, nic nie pili, tylko siedzieli przy nas. Wiadomo, że tak się nie robi obserwacji. Obserwację się robi tak, żeby figurant (ktoś kto jest obserwowany) nie wiedział, że jest obserwowany. Jeżeli nas obserwowano w ten sposób, to tylko po to, aby wywierać na nas presję. Chodzimy za wami, patrzymy na was, nie znacie dnia i godziny, kiedy się do was dobierzemy. Taka pokazówka. Po pewnym czasie żona i dzieci miały tego serdecznie dość, bo były przerażone i tego nie rozumiały. To wszystko było jak z jakiegoś filmu, tylko że w naszym przypadku to nie był film, to się naprawdę działo. Następna rzecz - kontrole skarbowe. Ja do tego momentu nie miałem żadnej kontroli skarbowej i nagle w tym momencie była kontrola wszystkich moich kontraktów telewizyjnych i wszystkich moich umów. Była to bardzo wnikliwa kontrola, która była nastawiona wyraźnie na znalezienie czegokolwiek. Nie znaleziono u mnie niczego.

Zaczęto kontrolować moich kolegów z telewizji, z którymi realizowałem program „30 minut”. Dawano im do zrozumienia, że te kontrole mają związek z tym, że byli blisko Sumlińskiego. Mniej więcej coś w stylu: „Jesteście blisko Sumlińskiego? Będziecie mieli kłopoty”. Czyli taka dbałość o to, żebym był otoczony infamią. Później fala anonimowych kłamstw wrzucana do Internetu, powtarzały się pięć czy sześć razy. Gdzie ktoś, kto się nigdy nie podpisywał, „Gall Anonim”, wrzucał takie rozmaite informacje na mój temat, które były świetną mieszanką prawdy i kłamstwa. To jest dobrze robione. To nie jest tak, że to jest 100% kłamstwa, bo byłoby to łatwo rozpoznać. Ale jak się do 5% prawdy dorzuci 95% kłamstw, to trudno rozróżnić ziarno od plew. Więc poparcie dało mi 55 dziennikarzy (Rafał Ziemkiewicz, Rafał Romanowski i inni). Co zrobiono? Do każdego z tych ludzi wysłano e-maila: „Czy warto wspierać Sumlińskiego?”. Bo ja im wszystkim podziękowałem w książce „Z mocy bezprawia” z roku 2011. Napisałem podziękowanie dla kolegów dziennikarzy, którzy wsparli mnie w sposób szczególny i tam ich wymieniałem. Każdy, kto został w mojej książce wymieniony, dostał e-maila: „Czy warto pomagać Sumlińskiemu? Ponieważ to oszust, niełojalny dziennikarz, przestępca” i tak dalej. To były oczywiście wiadomości anonimowe, pod którymi nikt się nie podpisał, ale na tym polegały te działania. Jeżeli ktoś usłyszy sto razy kłamstwo, to zaczyna się zastanawiać, czy to aby nie jest prawda? I na to nastawione były te działania. Więc nie wszyscy moi koledzy zdali nawet ten egzamin. 90% zdała. Ale powiem tak: było kilku, odnośnie lojalności, w których bym nigdy nie zwątpił, a oni odsunęli się ode mnie jako pierwsi. Natomiast ci, z którymi nie byłem aż tak blisko, okazali się najlepszymi przyjaciółmi, właśnie jak Bogdan Romanowski, Rafał Ziemkiewicz, czy Krzysztof Skowroński. Zwłaszcza Krzysztof Skowroński, ale było takich więcej. Innymi

słowy- to był wielki test przyjaźni. Pamiętam, jak moja żona zadzwoniła do jednego europośła z PiS, z którym byliśmy bardzo zaprzyjaźnieni, to znaczy ja z nim, moja żona z jego żoną, a nasze dzieci z jego dziećmi. Odwiedzaliśmy się, jeździliśmy razem w góry i wydawało mi się, że jesteśmy przyjaciółmi, całą rodziną. Pierwszy telefon, jaki moja żona wykonała po zatrzymaniu mnie, wykonała do żony tego europośła: „pomóż, co robić? Poradź”. Otrzymała odpowiedź, że mąż już wykonuje działania, odezwie się do nas. Nie odezwał się tego dnia, ani następnego. Żona potem dzwoniła przez kilka dni. Nie odbierał. Spotkaliśmy się po roku, w Telewizji Polskiej, przypadkiem. Było mu głupio i mnie przepraszał. Powiedział, że zgłupiał, nie wiedział, co o tym myśleć i mówi: Słuchaj, no skoro się spotkaliśmy to wpadnijcie z rodziną, strasznie nam jest głupio, że tak to wyszło”. Powiedziałem mu, że dziękuję i zastanowimy się. I on i ja wiedzieliśmy, że nigdy się już nie spotkamy, że ta przyjaźń nie zdała egzaminu i że już jest zamordowana. Więc to była trudna sytuacja, ta nagonka, próby niszczenia, kontrole, groźba wiszącego aresztu. To wszystko obliczone na działanie dzień po dniu, godzina po godzinie. Gdzie człowiek otwiera gazetę jednego dnia i myśli „no już nic więcej nie mogą wymyślić”, ale idzie do kiosku drugiego dnia i czyta o sobie nowe rzeczy, chociaż wydawało mu się, że te z poprzedniego dnia to już był szczyt absurdu. I nie wiadomo już, czy to matrix, czy to się dzieje naprawdę. Ale nie poddaliśmy się i teraz mogę powiedzieć, że po tych wszystkich trudnych chwilach się nie poddamy.

Mógłby nam Pan opowiedzieć o tym, jak od dziennikarza „Słowa Podlasia” doszedł Pan do bardzo poczytnego dziennikarza śledczego?

Przyjechałem do Białej Podlaskiej w 1995 roku. Chciałem być psychologiem, szukałem tutaj pracy, takiej, jaką miałem w Warszawie, nie znalazłem. Ktoś mi powiedział, że zwolniło się miejsce

w „Słowie Podlasia”, ja już byłem trzeci miesiąc bez pracy. Wtedy pomyślałem- spróbuję zatrudnić się w „Słowie Podlasia”. Zawsze lubilem czytać i pisać. A w międzyczasie nadal będę szukał pracy w zawodzie psychologa, ale już przynajmniej będę miał jakąś pracę. Poszedłem do redaktora Romana Laszuka, który wtedy był naczelnym. Powiedział, że mają wolne miejsce i żebym coś napisał i sam sobie wymyślił temat na reportaż. Napisałem taki reportaż. Zaczęłem pytać teściów i inne osoby, bo nie znałem tutaj ludzi, co może być ciekawe. Okazało się, że jest jakiś problem na jednym z osiedli, tam niedaleko, gdzie w tej chwili jest PSW im. Jana Pawła II. Jakiś taki materiał interwencyjny. Rzeczywiście wszedłem w ten temat z sercem. Redaktorowi naczelnemu się spodobał. Powiedział, że może jeszcze jeden czy dwa. Przeprowadziłem jeden wywiad, akurat wtedy Jan Olszewski, wtedy już były premier ,był tutaj na Podlasiu, więc pojechałem do niego, żeby przeprowadzić z nim wywiad. Ten wywiad też się spodobał. Zrobiłem jeszcze jeden materiał reporterski i dostałem etat. Zaczęłem wchodzić w pracę dziennikarza. Pierwszy materiał śledczy, jaki zrobiłem, zaczął się od tego, że któregoś kwietniowego ranka zobaczyłem (było 20 stopni ciepła) dużo osób ubranych w palta na dworcu w Białej. Pytałem, co to za dziwne zjawisko kolegi, który jest z Białej. On mówi, że to żaden temat, to mrówki. Ja mówię, ale co to są te mrówki? Jeżdżą za granicę i skupują alkohol, papierosy. Zapytałem Romana Laszuka, czy ktoś to kiedyś sprawdził, opisał. Nie, no, taki przygraniczny temat, nic ciekawego, ale jak chcesz, to pojedź. Pojechałem do Brześcia, od razu w pociągu zostałem rozszyfrowany, że jestem pierwszy raz, bo byłem jedynym, który miał bilet, wszyscy inny wrzucali konduktorowi do czapki. Jakaś pani się mną zaopiekowała, „tutaj kupi pan alkohol, tutaj papierosy”. Mnie nie tyle interesowali biedni ludzie, którzy nie mieli pieniędzy i sobie tak

dorabiali, mnie bardziej interesowało zjawisko, mechanizm, że to działa jak taki dobrze naoliwiony mechanizm, że każdy wie, że się nie kupuje biletu, tylko daje się konduktorowi, że na granicy nie ma problemu, tylko jest wcześniej rzutka dla celnika, że w Terespolu wszyscy wychodzą do stojących na dworcu tirów, zdejmują te woreczki z alkoholem z ciała, zostawiają i wychodzą z pieniędzmi, że policja stoi obok tych tirów i zamyka na to oczy. Mnie bardziej interesowało, kto stoi na szczycie, czyli nie ci biedni ludzie, którzy często nie mieli za co żyć, tylko ten najwyższy trybik. Zaczęłem krążyć po tej granicy i szukać tego trybika. Wiele miesięcy krążyłem po granicy. Przede wszystkim pomógł mi jeden oficer straży granicznej, bardzo przyzwoity człowiek. Ja już wtedy pracowałem w „Słowie Podlasia”, ale po tych pierwszych artykułach dziennik „Życie” zaproponował mi, żebym był ich korespondentem na tych terenach, a po bardzo krótkim czasie zaproponowali mi etat. Tak się stało. Było tak, że ja wyjechałem z Warszawy za żoną tutaj do Białej, ale potem dojeżdżałem do Warszawy do pracy. Wyglądało to tak, że wyjeżdżałem w poniedziałki do Warszawy, a wracałem w piątki, czasami w czwartki. Coś jeszcze robiłem dla „Słowa Podlasia”, bo miałem kontrakt, ale głównym miejscem zatrudnienia był dziennik „Życie”, w Warszawie. Udało się tego oficera przenieść do służb dyplomatycznych, został zabrany z granicy. Po pierwszych moich artykułach, w których pokazałem nie tych biednych ludzi, ale te trybiki wyżej, zgłosili się do mnie oficerowie komendy głównej policji i prokuratury w Lublinie o pomoc. Były to międzynarodowe, zorganizowane grupy przestępcze. Zaczęło się od alkoholu, ale tam było wiele innych rzeczy, tam był handel ludźmi. Pomogłem tym prokuratorom i policjantom. Policjanci z Komendy Głównej Policji później przyszli do mnie mówiąc, że chcieli mnie poznać z jednym takim człowiekiem, oficerem UOP,

któremu przełożeni zablokowali jedno śledztwo, wykonał świetną robotę, a nie może jej dokończyć, bo są naciski polityków, miałem to nagłośnić medialnie. Ja się spotkałem z tym oficerem UOP-u, dotrzymałem wszystkich warunków, nagłośniłem to. Później to grono informatorów się zwiększało. Dochodzili kolejni, aż człowiek się nie zorientował, jak w pewnym momencie miałem już znajomych informatorów w zasadzie we wszystkich możliwych służbach, i w policji, i w UOP, i później także w ABW czy WSI. To się zaczęła robić śniegowa kula, coraz więcej informacji, coraz więcej informatorów, coraz większa ranga informacji i coraz większa ranga informatorów, aż w doszło do prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Bronisława Komorowskiego i wtedy zaczęło się robić rzeczywiście niebezpiecznie.

Nawiązując do spotkania, które przed chwilą mieliśmy, jak Pan sądzi, czemu państwo polskie nie chce zająć się sprawą i nie chce, żeby śmierć księdza Popiełuszki została wyjaśniona?

Rozmawialiśmy o tym w różnych kręgach wiele razy. Ta sprawa ma w sobie wiele innych spraw. To jest trochę tak, jak wyjść z portu na szerokie morze. Jeżeli u podłoża tej sprawy legły jakieś ustalenia z wielkimi autorytetami całej III RP, takimi jak Tadeusz Mazowiecki, Bronisław Geremek, którzy robili pewne ustalenia i pewne układy z gen. Jaruzelskim i z gen. Kiszczakiem, nie ma możliwości odkrycia prawdy o tej sprawie, nie pokazując tych tajnych układów, tych różnych historii, które do dziś nie ujrzały światła dziennego. Myślę sobie też, że ogromną rolę odgrywa agentura służb tajnych, która posługując się górnolotnymi argumentami tak naprawdę walczy o swoją skórę. Kiedy byłem dziennikarzem Telewizji Polskiej pojechałem z kamerą do księdza Andrzeja Przekazińskiego,

dyrektora muzeum Archidiecezji Warszawskiej, który był przyjacielem księdza Popiełuszki i poprosiłem go, aby mi powiedział wszystko co może o swoim przyjacielem, o księdzu. Pierwsze, co powiedział, to abym wyłączył kamerę. Wyłączyłem, a on mówi: „Panie Wojtku, niech pan zostawi tę sprawę, ja chcę doczekać beatyfikacji Jurka, a jak wy zaczniecie w tym grzebać, to tej beatyfikacji nigdy nie będzie, to ją zablokujecie tymi śledztwami, niech pan to zostawi”. Jaki argument? Szukanie prawdy, może zaszkodzić beatyfikacji księdza Popiełuszki. Ja wtedy wszedłem w taką polemikę z księdzem Andrzejem, „ale księżo- mówiłem- przecież ksiądz Popiełuszko mówił, że prawda wyzwala, że trzeba szukać prawdy, dążyć do prawdy, a ksiądz tutaj mówi, że szukanie prawdy może zaszkodzić beatyfikacji. Gdzie tu logika?”. „Niech pan to zostawi, niech pan to zostawi”- powtarzał jak mantrę. Ja wtedy nie rozumiałem, z czego wynika taki opór. Dwa lata po tej rozmowie IPN publikuje dokumenty, że ksiądz Andrzej Przekaziński był agentem SB, czyli tej służby, która zamordowała księdza Jerzego i że donosił na księdza, na swojego przyjaciela. Innymi słowami nie chodziło księdzu Andrzejowi o to, że to działanie może zaszkodzić beatyfikacji, tylko chodziło mu o swój los, o swoją skórę, że ktoś, kto będzie szukał prawdy, dotrze do niewygodnych faktów z jego życia. Później takich historii miałem znacznie więcej. Dociekałem dalej i spotykałem różne znane osoby, byli to np. senatorowie, jak senator Krzysztof Piesiewicz, który szalenie bał się prawdy o tej zbrodni, czy też Minister Sprawiedliwości w rządzie AWS Stanisław Iwanicki, który robi wszystko, aby prawda o tej zbrodni nie wyszła na światło dzienne. To on odebrał śledztwo prokuratorowi Witkowskiemu. Później się okazało, że Stanisław Iwanicki był bardzo mocno uwikłany w rozmaite więzi ze służbami wojskowymi wywodzącymi się jeszcze z PRL-u. Było

mnóstwo takich podskórnych powiązań, których człowiek nie dostrzegał. Dostrzegał tylko, że rzucane są kłody pod nogi. Dostrzegał to Andrzej Witkowski, który prowadził swoje śledztwo prokuratorskie, dostrzegali jego podwładni, dostrzegałem to także ja jako dziennikarz, który prowadził swoje śledztwo dziennikarskie w tej sprawie i dostrzegali to inni dziennikarze, którzy starali się wyjaśnić tę sprawę- dwóch takich dziennikarzy, Przemysław Wojciechowski i Piotr Litka, którzy zrobili na ten temat dobry film, można go obejrzeć na DVD, jest do kupienia nawet w empiku. Każda osoba, która mocniej się zajęła tą sprawą, natrafiała w pewnym momencie na mur nie do przebiccia i każdy sobie zadawał pytanie, o co tu chodzi, skąd tak wielkie działania dezinformacyjne, niszczące. Wyjaśnił mi to dopiero Andrzej Witkowski, kiedy odsłonił trochę kulis tego śledztwa, oczywiście nie łamiąc tajemnicy państwowej. Wtedy zacząłem rozumieć, jak to jest wielowątkowe. Jeśli byśmy wyjaśnili sprawę księdza Popiełuszki, to musielibyśmy całą najnowszą historię Polski pisać od nowa. Okazałoby się, że wiele autorytetów nie jest autorytetami. Wielu do niedawna wydawałoby się czystych, uczciwych polityków- że nie są uczciwymi politykami. Dowiedzielibyśmy się o innych sprawach. Na przykład największa operacja przełomu lat 80. i 90, tak zwana operacja „Żelazo”, nigdy nie została wyjaśniona, właśnie dlatego, że ludzie, którzy brali kluczowy udział w tej operacji, to byli ci sami ludzie, którzy pociągali za sznurki w operacji kryptonim „Popiel”, czyli sprawie śmierci księdza Popiełuszki. Innymi słowy- istniało ryzyko, że pociągając do odpowiedzialności człowieka za jedną sprawę, zostałyby wyjaśnione inne operacje, w których brał udział. Takich historii było znacznie więcej. Nie bez znaczenia (jako trudność dla tej sprawy) jest także to, że wyjaśniając tę całą sprawę, dowiedzielibyśmy się o wielu tajnych współpracownikach SB umieszczonych w łonie

Kościola Katolickiego, np. Grzegorzowi Piotrowskiemu podlegała cała agentura kościelna umieszczona na Pomorzu, od Gdańska po Szczecin. Innymi słowy Piotrowski był taką osobą spinającą wielu agentów umieszczonych wśród księży. Wyjaśniając wszystkie aspekty tej zbrodni, dowiedzielibyśmy się o całym morzu faktów, poznalibyśmy całe dziesiątki, a może i setki rozmaitych postaci, bardzo ważnych i znanych, w zupełnie nowej odsłonie. Są to często ludzie, którzy odgrywali i wciąż odgrywają bardzo ważne role w życiu publicznym w Polsce. Dlatego z tak różnych stron utrudniano wyjaśnienie tej zbrodni. Myślę, że kluczową rolę odgrywał dla zatamowania tej sprawy gen. Czesław Kiszczak. On był tą osobą, która trzymała wszystkie nitki w rękę. Wyjaśnił mi to kiedyś jeden oficer, u którego byłem na rozmowie, na Mokotowie w Warszawie. Byłem tam z polecenia innego informatora. Ten oficer w pewnym momencie, przy naszym spotkaniu nieco się otworzył i pokazał stojącą w pokoju szafę, mówiąc, że z tego co tu ma, ustawił na całe życie dzieci, a teraz ustawia wnuki, bo „panie Sumliński, nie ma nic lepszego nad to, jak się dobrze w życiu ustawić”. Wracając z Mokotowa na Żoliborz zrozumiałem, co on mi powiedział. On się bezczelnie pochwalił, że trzyma los iluś ludzi w rękę, że ma tzw. haki na tych ludzi, oni się boją, że ktoś to kiedyś odkryje i tak naprawdę taki człowiek jest panem ich losu. Wyobraźcie sobie, że ktoś popełnił kiedyś jaką niegodziwość, np. doniósł na przyjaciela i temu przyjacielowi rozpadło się życie, a może chciał paszport, w PRL - u paszport był nagrodą, nikt go nie miał w domu; może chciał wyjechać za granicę, dostał paszport, ale musiał zrobić coś niegodziwego, a może ktoś jechał pod wpływem alkoholu i zabił kogoś i nigdy nie poniósł za to kary, bo SB zamiast kary wzięło go na taki sznurek, smycz i go szantażowało. Taki człowiek był w latach 80. młody, był na początku swojej kariery:

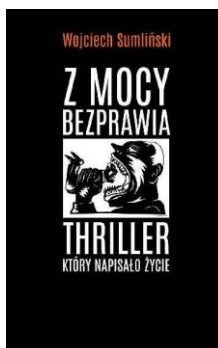
urzędniczej, prawniczej, księzowskiej czy jakiegokolwiek innej. To ile lat ma dziś? To jest człowiek, który jest na szczycie swoich możliwości zawodowych. Jeżeli wtedy był młody, miał 25-30 lat to teraz ma 55-60 lat. Jeżeli wtedy był młodym sędzią, albo młodym dziennikarzem, to może dziś jest bardzo znanym dziennikarzem, albo może sędzią Sądu Okręgowego. A jeżeli wtedy był młodym urzędnikiem, to dzisiaj może jest szefem komisji przetargowej, która odpowiada za kontrakty od miliarda w górę. Taki człowiek całe życie służył, bo się bał, że ktoś wyciągnie teczkę, albo nagranie, albo jego donos, albo coś innego. Ten człowiek całe życie bał się, był takim niewolnikiem. Na przykład jako sędzia wydawał wyroki na zlecenie: skazywał niewinnych, uniewinniał winnych, albo np. jako dziennikarz niszczył ludzi piórem, albo okiem kamery, bo mu tak kazali. Albo jako urzędnik zamiast dawać wygrywać przetargi najlepszym firmom, dawał firmom służb tajnych. Taki człowiek całe życie był niewolnikiem. Teraz ktoś ma to udokumentowane. To tak naprawdę ten ktoś jest panem losu takiego człowieka. On to wyciąga i tego człowieka nie ma. Całe jego życie legnie w gruzach. Taki człowiek całe życie będzie służył swoim panom. Myśmy z kolegami dziennikarzami próbowali oszacować, ilu może być takich niewolników na ważnych miejscach

dla funkcjonowania państwa, w mediach, w sądownictwie, w polityce. To jest nie do oszacowania. Na pewno są to tysiące ludzi. Ale nawet niech to będzie tysiąc, a nie tysiące. Proszę wyobrazić sobie tysiąc osób na stanowiskach dziennikarskich, sędziowskich, politycznych, którzy są niewolnikami. Którzy wykonują każde polecenie. Trzeba zamknąć człowieka, to go zamykamy; trzeba, żeby wygrała firma X w przetargu, to wygrywa firma X, trzeba napisać podły artykuł, nie ma problemu, będzie podły artykuł, który kogoś niszczy. To nie jest rzeczywistość, która była, ale rzeczywistość, która trwa. Dlatego tak ważne jest oczyszczenie życia publicznego z tych całych naleciałości służb tajnych. Żeby ludziom mającym te wszystkie argumenty, które niszczą innych ludzi, je odebrać. Nie ma innej drogi, jak tylko odkrycie tego. Będzie to strasznie bolesne dla wielu, ale będzie to jeden ból raz, a potem będzie cisza, nie będzie takiego grania ludzkim losem, gdzie ci ludzie jako niewolnicy będą do końca swoich dni wykonywali polecenia swoich panów, niszczyli innych ludzi i przy okazji niszczyli cały kraj. Tak to de facto wyglądało i wygląda.

Dziękujemy za udzielenie wywiadu i życzymy wszystkiego najlepszego.

16 grudnia 2015. r. Sąd Rejonowy Warszawa- Wola uniewinnił Wojciecha Sumlińskiego oskarżonego o płatną protekcję przy weryfikacji oficerów WSI.

Wywiad przeprowadziły: Aleksandra Niedźwiedz i Katarzyna Niestoruk



Białe płatki śniegu

Stojąc przy krawędzi klifu Joseph Snowflake wsłuchiwał się w szum morskich fal rozbijających się o brzeg i skały. Dźwięk ten przywodził mu na myśl ostatnie wydarzenia jakie miały miejsce w jego życiu. Wszystko potoczyło się nie tak jak powinno. W jego rodzinnym mieście śnieg w okresie świąt był czymś niezwykłym. Tegoroczne Boże Narodzenie było dla Josepha niezwykle pod każdym względem, wszystko bowiem posypało się niczym białe, błyszczące płatki z nieba. Chłód niesiony przez zimowy wiatr przenikał przez wszystkie warstwy ubrania i chłodził spoconą od biegu skórę mężczyzny. Przyjemnie było tak stać i słuchać niespokojnej ciszy. Dzisiaj Wigilia – pomyślał – zupełnie jak kilkanaście lat temu, tylko inaczej. Wtedy nie było śniegu. Za to był on. To była ósma gwiazdka w świątecznej karierze Snowflake'a, za oknem padał deszcz, a ciotka Greta wyklócała się z mamą o to, że lampki na choince nie są ułożone tak, jak powinny. W domu roznosił się zapach pierniczków i makowego ciasta z uwielbieniem przygotowywanych przez babunię, która mimo swojego podeszłego wieku miała więcej wigoru niż niejeden młody człowiek. Kuzynka Klara włączyła, jak zwykle zresztą, na starym odtwarzaczu *O holy night* w wykonaniu gburowatych emerytów, do której ujadł Cesarz, niedołączny jamnik ciotki Grety, próbując zagłuszyć nieznośne fałszy starców. Wszyscy goście już byli, no prawie wszyscy, ale ośmioletni Joseph nie liczył na pojawienie się tego ostatniego, najważniejszego. Jego nigdy nie było. Muzyka przestała grać, pies w końcu zamilkł, a cała rodzina, albo raczej jej dziwaczne, odbiegające od wszelkich norm jednostki, zebrały się przy zastawionym stole, by zmówić modlitwę i zacząć kolację. Babunia Moe nie zdążyła powiedzieć kończącej modlitwę *amen*, gdy nagle dał się słyszeć dzwonek do drzwi. Wszyscy zamarli. Nie miało być nikogo więcej. Joseph pełniący rolę pana domu, a przynajmniej tak mu się wydawało, zerwał się z miejsca i pobiegł otworzyć. Gdy już to zrobił, pomyślał, że Mikołaj to jednak dobry gość, a nie czerwony staruch zalatujący alkoholem i papierosami, i że czasem stać go na gest. W progu stał on. Minę miał trochę niepewną i jakby wystraszoną, ale ogólnie to chyba się nawet uśmiechał, co - jak w tamtym momencie stwierdził Joseph- było bardziej niespotykane niż śnieg. W progu domu z małą paczką pod pachą stał tato, z tą swoją rozwianą czupryną i puszystym swetrem, w który chłopczyk tak bardzo lubił się wtulać w czasach, gdy tato nie został jeszcze zabrany przez tamtego mężczyznę w mundurze. Nikt nie poruszył się z miejsca, wszyscy oszołomieni tym widokiem jakby zamienili się w posągi. Jednak mały Joseph zachował się niczym prawdziwy gospodarz i nonszalanckim gestem zaprosił gościa do domu. Wszyscy śmiali się i płakali, czego ośmiolatek do końca nie pojmował. Obraz tego wysokiego mężczyzny, patrzącego z błyskiem w oku na mamę i sadzającego sobie na kolanach swojego jedyne syna, wrył się w pamięć chłopca z taką siłą, że pozostał w niej jako jedyne, najwspanialsze wspomnienie człowieka, który po Wigilii odszedł i już nigdy nie wrócił. Tegoroczne święta były niezwykle dla Snowflake'a pod każdym względem. Spadł śnieg, a wraz z nim spadły wszystkie żyjące anioły Josepha. Te święta miały być niezwykle samotne. Bez ogłuszającej *O holy night* i jej psiego akompaniamentu, bez pierniczków i ciasta makowego, bez czułych dłoni matki. Ponoć święta to czas cudów. Joseph Snowflake po raz ostatni spojrział na słońce, pozwalając mu by dotknęło swoimi ciepłymi promieniami jego twarzy, po czym z paczką pod pachą odwrócił się i ruszył w stronę domu, gdzie czekał na niego syn, po to, by później wrócić w to miejsce i odejść tak, jak zrobił to kilkanaście lat temu człowiek w puszystym swetrze i spaść z nieba, tak, jak to robią białe płatki śniegu.

Niezwykłe historie zwykłych ludzi

„Most szpiegów”

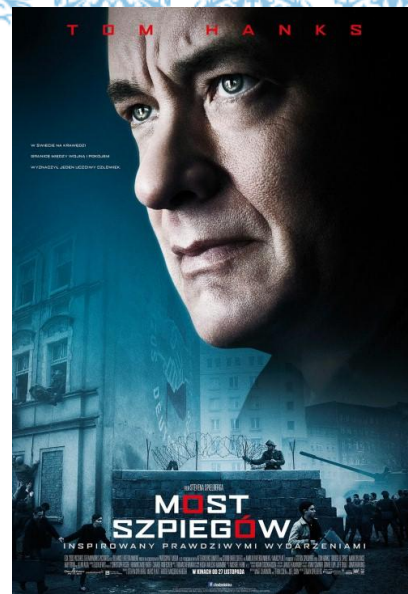
Minimalistyczny, oszczędny w formie, powolny i miarowy, choć również w pewien nieoczywisty sposób dynamiczny i trzymający w napięciu. Błyskotliwy, wzruszający, również patetyczny i... drażniący. Taki właśnie jest *Most szpiegów* w reżyserii Stevena Spielberga, swoją popularność zawdzięczającego produkcjom takim jak: *Szeregowiec Ryan*, *Park Jurajski*, *Lista Schindlera*, *Szczęki*, czy seria filmów o archeologu awanturniku Indianie Jonesie. Zmierzywszy się z historycznym portretem Abrahama Lincolna, reżyser podejmuje temat „wojny szpiegów” toczony między USA i ZSRR w okresie zimnej wojny. *Most szpiegów* jest to thriller historyczny osadzony w niespokojnej zimnowojennej rzeczywistości lat 60-tych. Scenariusz autorstwa Matta Charmana oraz braci Coen oparty został na wydarzeniach prawdziwych. Opowiada historię Jamesa Donovana, szanowanego nowojorskiego prawnika, który podejmuje się obrony radzieckiego szpiega Rudolfa Abela. Donovan szybko przekonuje się, że oczywista dla społeczeństwa wina jego klienta wcale nie jest oczywista dla niego. Z tego względu zostaje zepchnięty na margines życia społecznego. Sytuacja jednak zmienia się, gdy na terytorium Związku Radzieckiego zostaje schwytany Francis Powers, młody amerykański pilot, zaś władze NRD uniemożliwiają opuszczenie swojego terytorium amerykańskiemu studentowi Fredericowi Pryorowi. Jaką rolę odegra w tym wszystkim Donovan? Zapraszam do przekonania się w sali kinowej.

Największą siłą filmu są bezbłędne kreacje aktorskie. Szczególną uwagę chciałbym tu poświęcić Tomowi Hanksowi w roli Jamesa Donovana i Markowi Rylance'owi jako Rudolfowi Abelowi.

James Donovan jest przede wszystkim człowiekiem z zasadami. Hanks mistrzowsko oddaje obraz dobrze sytuowanego inteligenta, który wyrwany z wygodnej rutyny i rozdierany sprzecznymi racjami i uznawanymi dotychczas wartościami musi się zmierzyć z niechęcią ze strony społeczeństwa i rodziny. Fascynuje przemiana postaci. Aktor pokazuje nam jej drogę od szoku, poczucia „wyrwania z kontekstu”, niepokoju, przez kontestację obowiązującego ładu społecznego, sprzeciw wobec niesprawiedliwości i pewien wzrost empatii, aż po niezłomną walkę za wartości ukształtowane w tym procesie. Znamienną jest wiara Donovana w prawo i amerykańską konstytucję. Jest to zarówno wada, jak i zaleta tej postaci. Zaleta, ponieważ stanowi jej motor działań. Niestety, jest też przyczyną wzbierania momentami typowo hollywoodzkiego patosu. Trudno jednak się dziwić, znając Spielberga jako apologetę amerykańskiego systemu prawnego.

Warto wspomnieć o granym przez Scotta Shepherd'a agencie CIA Hoffmannie. Postać ta jest niejako przeciwieństwem praworządnego i empatycznego Donovana. Shepherd wciela się w rolę antypatycznego cynika, który, towarzysząc Donovanowi przez znaczną część filmu ma chyba uwydatniać pozytywne cechy prawnika.

Niemniej udanie przedstawiona została postać Rudolfa Abela. Mark Rylance ukazuje dwoistą naturę radzieckiego szpiega. Jest on z jednej strony cichym, niepozornym, cechującym się beznamietnością godną psychopaty starszym panem z zamiłowaniem do malarstwa. Tak widzimy go na początku. Z czasem okazuje się jednak, że jest on wyjątkowo bystrym, empatycznym, pozbawionym strachu, lojalnym i w pewien szczególny sposób ujmującym patriotą. Zadziwiające jest jak wiele Rylance jest nam w stanie przekazać w tak skrajnie oszczędny sposób. Gra on bowiem głównie nieznacznymi gestami, znaczącymi spojrzeniami lub nawet zupełnym ich brakiem. Zmusza go do tego



z natury małomówny Abel, a mimo to wyraźnie widzimy każdą emocję, odczytujemy niewypowiedziane kwestie i po prostu „dogadujemy się”.

Za zdjęcia do filmu odpowiedzialni są Thomas Newman oraz Janusz Kamiński, których współpraca ze Spielbergiem przy *Moście szpiegów* zaowocowała nakręceniem tak genialnych sekwencji, jak rozgrywana niemal bez słów oblawa na Abela, czy katastrofa samolotu Powersa. Ładnie, choć momentami trochę sztucznie prezentuje się panorama ciągle nieodbudowanego po II wojnie światowej wschodniego Berlina. Ciekawostką jest, że część zdjęć wykorzystanych do jego przedstawienia zrobiono na terenie polskiego Wrocławia. Imponuje dbałość o szczegół w odwzorowaniu realiów historycznych, nie ma tu typowego dla Amerykanów wizualnego „efekciarstwa”, choć trochę boli, że nie dane jest nam obserwować panoramę Nowego Jorku. Sekwencje kręcone na jego terenie są bowiem ograniczone głównie do zamkniętych pomieszczeń.



Nieporozumieniem jest zaś muzyka, również Thomasa Newmana, któremu najwyraźniej nadmiernie udzielił się minimalistyczny klimat filmu. W swojej oszczędności poszedł on o krok za daleko, czego efektem jest uboga i niezapadająca w pamięć warstwa muzyczna. Przez większą część filmu coś tam gra, coś tam „brzęczy”, ale w gruncie rzeczy drażni i pozostawia niesmak oraz poczucie niespójności z obrazem.

Problematyka filmu jest bardziej złożona niż mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka. Mamy tu niewątpliwie do czynienia z charakterystycznym dla hollywoodzkiego kina patosem. Jest on nam jednak dawkowany oszczędnie, głównie przy pomocy utarczek słownych Donovan i Hoffmana. Nie ma tu na szczęście ratowania świata przez USA przed krwiożerczym Związkiem Radzieckim. Najważniejszym problemem poruszonym w *Moście szpiegów* jest znaczenie jednostki w kontekście funkcjonowania w realiach konfliktu wielkich politycznych mocarstw. Sytuacja Abela schwytanego przez Amerykanów oraz Powersa i Pryora w rękach komunistów zdaje się tak naprawdę nikogo nie obchodzić. Wielcy polityczni gracze traktują takie jednostki jak pionki, których strata nie boli. Również obraz społeczeństwa amerykańskiego, dążącego do linczu Abela niemal bez sądu robi smutne wrażenie. Znajdują się jednak ludzie kierujący się podstawowymi moralnymi zasadami, tacy jak Donovan, którzy przywracają widzowi wiarę w człowieka i możliwość naprawy rzeczywistości. Takie odczytanie stoi w jaskrawej sprzeczności z typowo amerykańskim górnolotnym i bezrefleksyjnym epatowaniem patriotyzmem, z którym pozornie mamy w filmie do czynienia. Jest to jego potężny atut, ponieważ amerykański film odnoszący się krytycznie do Stanów Zjednoczonych jest swego rodzaju ewenementem.

Poza tym *Most szpiegów* traktuje o zwykłej ludzkiej umiejętności porozumienia się ponad wszelkimi podziałami. Niemal od pierwszych minut obserwujemy jak Donovan i Abel początkowo połączeni tylko względami oficjalnymi, w relacji usługodawca – klient, z czasem nawiązują porozumienie, a wreszcie głęboką przyjaźń.

Most szpiegów ma swoje braki. Jest między innymi nieco przewidywalny, momentami lekko stronniczy (amerykański patos zawsze unosi się na wodzie), posiada drażniącą oprawę muzyczną, jednak są to wady niewiele znaczące wobec tego, co w filmie jest zrobione dobrze. Do jego mocnych stron należą przede wszystkim: bezkonkurencyjne kreacje aktorskie największych osobowości współczesnego amerykańskiego kina oraz zmuszanie odbiorcy do głębszej refleksji nad wyznawanym przez niego systemem wartości. Nie jest to może rasowy thriller, równie dobrze można nazwać film dramatem. Zapewnić jednak mogę, że miłośnicy obu gatunków znajdą tu coś dla siebie.

Autor: Tomasz Panasiuk

„W pracowni indywidualności”

Wywiad z Sylwią Kalinowską – malarką z Janowa Podlaskiego, której życiowa pasja zamieniła się w wymarzone zajęcie i od tego momentu zajmuje się tylko i wyłącznie malarstwem.

Jak wyglądały Pani początki z malarstwem?

Malowałam od dziecka, zawsze chodziłam z ołówkiem i kartką papieru. Ciągle mnie coś inspirowało. Natomiast później zaprzestałam malowanie i studiowałam biologię na Uniwersytecie w Lublinie. Myślę, że pasja zawsze wraca, to, co się kocha w życiu procentuje. Wydaje mi się, że moją pasję do malowania zaszczerpił we mnie też mój nauczyciel plastyki w podstawówce, który mówił wszystkim dzieciom, że pięknie malują. Wierzyliśmy w to. Dlatego też warto robić coś dla siebie, bo nigdy nie wiadomo co przyda się w życiu.

Kiedy uświadomiła sobie Pani że chce zostać malarką? Właśnie przez te zajęcia, czy ktoś jeszcze był dla Pani inspiracją?

Postanowiłam, że będę malarką, kiedy zauważyli moje szkice różni marszandzi galerii artystycznych. To mi dało takiego „kopa” i chęć zajmowania się tym. Uwierzyłam w siebie, że coś potrafię. Moje obrazy cieszyły się zainteresowaniem. Dziesięć lat temu, kiedy stałam dopiero na początku swojej drogi były propozycje z zagranicznych galerii w Holandii, Londynie i innych. Od razu moje obrazy znalazły się w warszawskich galeriach np. Na piętorku czy Galeria Ul. Dlatego też postawiłam wszystko na jedną kartę, stwierdziłam, że warto spróbować. Zawsze można zajmować się czymś innym.



Czy kształciła się Pani w tym kierunku malarskim?

Zawsze pobierałam lekcje u profesorów uczelni artystycznych, ale długi czas nie skończyłam profesjonalnej uczelni. Studiowałam historię sztuki, a następnie grafikę na wydziale artystycznym. Za rok planuję zrobić doktorat z zakresu sztuki na Uniwersytecie w Toruniu.

Co jest Pani inspiracją?

Inspiracją są dla mnie własne przeżycia, bo moje obrazy są bardzo emocjonalne. Kobiety, które malują, oddają emocje. Są zatopione w melancholii, ciszy. Działają one na odbiorcę nie tylko barwą, ale też tym, co przekazują. Nie jestem megalomanką i nie maluję na tych obrazach siebie, ale przeważnie to, co czuję. Są to też tematy, które mnie otaczają, czyli nadbużańskie łąki. Malując je, bardziej rzeźbię w farbie niż maluję, zeszkrobuje farbę niż nakładam. Dlatego też powstają takie faktury, które stanowią płaskorzeźbę. Inspiruje mnie wszystko. Kiedy się jest artystą, patrzy się na wszystko inaczej. Tak jak ktoś jest muzykiem, słysząc melodię - widzi nuty.

Czyli jest to przelanie wszystkich Pani emocji?

Tak, zgadza się.

Czy pamięta Pani swój pierwszy wernisaż?

Dokładnie go pamiętam, ponieważ mój pierwszy wernisaż odbył się w Warszawie w Kuźni Królewskiej. Przygotował go jeden z marszandów. Jeszcze byłam nieświadoma, jak to się odbywa. Pojawilo się przede mną 100-200 osób, a ja musiałam coś powiedzieć. Byłam młoda, miałam dwadzieścia parę lat. Ten stres czegoś uczy, bo wiem, że malowanie malowaniem, ale trzeba też umieć prezentować swoją sztukę.

O jakiej tematyce pani najbardziej lubi malować?

Są to postaci. Kobiety. Kobieta jako symbol przede wszystkim tych emocji, które wyraża. Maluję też pejzaże. Wtedy chodzi bardziej o malarstwo abstrakcyjne, gdzie mogę się wyżyć na płótnie, gdzie grubą szpachlą operuję na wielkich powierzchniach. Natomiast rysunek wymaga dużej precyzji. Jest to bardzo żmudna praca. Zależy to od mojego nastroju. Skłaniam się bardziej w stronę tych dwóch nurtów. Kiedy maluję jakiś ekspresywny nastrój, chwytam za szpachlę. Nie chciałabym też tkwić w jednym temacie. Staram się poszukiwać.

Jakie techniki malarskie pani stosuje ?

Jest to technika mieszana, gdzie stosuję pióro, tusz, akwarele, pastele, oleje, bardziej przybiera to formy secesyjne. Jest to linia czarna. Na tym się opiera secesja. Jestem zafascynowana secesją i Klimtem, a także wieloma artystami z tej epoki. To przekładam na moje malarstwo, na moją technikę, tą własną. Natomiast w oleju są to bardziej ekspresywne obrazy, bardziej abstrakcyjne.

Ile czasu zajmuje Pani namalowanie średnie wielkości obrazu?

[śmiech] To zależy. Obrazy maluję wieloetapowo. W przypadku malarstwa olejnego są to zawsze laserunki, które nakładami każda poprzednia warstwa musi wyschnąć. Mnóstwo płócien czeka na swoją kropkę nad „i” w mojej pracowni, pozostają niedokończone. Tak samo w rysunku. Nie potrafię określić czasu. Czasami szybko, czasami wolno, jest to zależne od nastroju.



Czy czasami brakuje Pani inspiracji do tworzenia nowych dzieł?

Owszem, artysta nie zawsze jest pełen weny, nie zawsze chwyci pędzel i namaluje piękne dzieło. W takich momentach chwytam się trudniejszych tematów, dużo projektuję, na przykład tworzę okładki do książek, które nie wymagają już artystycznego ujęcia, jest to praca z komputerem, graficzna.

Czy ma Pani swój ulubiony obraz?

Jeśli chodzi o obcych malarzy bardzo lubię Musée d'Orsay w Paryżu i tam zawsze wracam, są tam moje ukochane obrazy, głównie impresjonistyczne. Bardzo cenię sobie twórczość Gustave'a Klimt'a. Wśród moich obrazów, mam kilka takich, na które spoglądam i wiem, że kojarzą mi się z danymi emocjami, których doświadczyłam w moim życiu. Jest kilka takich obrazów, do których wracam...

Czy każdy obraz traktuje Pani jako coś indywidualnego, niepowtarzalnego?

Oczywiście, moje obrazy są dla mnie indywidualne, w przeciwnym razie nigdy by nie powstały. Nawet, jeśli są to jedynie szkice na płótnie, nie byłabym w stanie pociągnąć dalej kreski. Chciałam zrobić wystawę na wiosnę, typowo portretową, bo uważam, że ten nurt w sztuce wraca. Przy nagromadzeniu milionów zdjęć zanika, a taki portret, który nie jest ewidentnym odbiciem, tylko jakimś zaczątkiem naszej urody, pozostaje na lata.

W jakim wieku są Pani odbiorcy?

Myślę, że są to przeważnie „widelki” – 25 lat, 45 lat, jest to bardziej mój przedział wiekowy, pewnie dlatego ci ludzie tak dobrze odbierają moją sztukę. Staram się być autentyczna w tym, co robię.

Jaka jest cena obrazu średniej wielkości?

Różnie. Wiadomo, że obrazy olejne kosztują więcej, te w technice własnej, mniej - w galeriach również występują w innej cenie. Najczęściej „widelki cenowe” są ogromne.

Jaki jest Pani najpopularniejszy obraz?

Najpopularniejszy? Nie wiem, nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Sądzę, że wyznacznikiem nie jest licznik na Facebooku [śmiech]. Mam dużo zamówień na portrety, ponieważ nie są one dosłowne, bardziej przypominają obraz z zaczątkiem jakiejś urody, aniżeli odzwierciedlenie tego, co widzimy w lustrze. Nadbużańskie krajobrazy także cieszą się dużą popularnością. Maluję już od 10 lat i cieszę się, że mam swoich stałych klientów, którzy przez cały ten czas zamawiają moje obrazy. Powodzeniem cieszą się również „deski” - jest to mój autorski pomysł.



Ma pani duże marzenie związane ze swoją twórczością?

Tak, mam. Mam bardzo dużo marzeń, głównie są to wystawy w miejscach naprawdę ważnych - to jest mój cel. Nie chcę, aby moja sztuka była niszowa, tylko, żeby mogła dotrzeć do szerszego grona odbiorców, zależy mi na tym, aby była doceniana. Chciałabym być twórcza, żebym cały czas miała polot i fantazję w malowaniu, ponieważ łatwo się w tym wszystkim pogubić.

Uważa Pani, że w sztuce najważniejszy jest talent?

Talent, przede wszystkim, ale na pewno bardzo liczy się praca. Chodzi o wyrobienie ręki. Człowiek, który posiada talent, ale niećwiczący tego, może wszystko zmarnować.

Jak radzi sobie Pani z krytyką?

Krytyka jest bardzo inspirująca, bardzo ją cenię. Staram się spojrzeć na swoje malarstwo obiektywnie.

Ma Pani rady dla początkujących artystów?

Uważam, że jeżeli ktoś ma pasję, powinien się tym zajmować. Nie każdy kochający malarstwo musi zostać wielkim artystą, ale to się przydaje w różnych dziedzinach życia – architekturze, modzie. Przekłada się to na to, co aktualnie robimy.

Wywiad przeprowadziły: Emilia Samociuk i Julia Ruszkowska



Jesień

Chłodem wieczorów
i dni wilgocią
Liśćmi suchymi
i pustką znaczącą w sercach
Zapachem nocy
i ciepłem ogniska
Pocałunkami
i czułym dotykiem
Cichymi szeptami
tłumionym westchnieniem
Mgłą wieczorną
z papieru łódeczka
Uniesieniami
i wspólnym spacerem
Płomieniem świecy
i kubkiem ciepłego kakao
Zdradą i bólem
łzami krągłymi
Wiatrem zimnym
i wczesnym słońca zachodem
Jesienią późną
wieczorem samotnym
Kochankiem będącym
bez końca ulotnym

Michał Grzywaczewski



Kannelbular, czyli świąteczny przepis na szwedzkie bułeczki cynamonowe



Skandynawia - gruba wełna, chłodny klimat, dyskretna życzliwość i oczywiście rozgrzewająca kuchnia. Kanelbullar-deser do którego zawsze się wraca. Są to przepyszne drożdżowe, rolowane bułeczki z cynamonem. Choć popularne są w wielu krajach skandynawskich oraz w Ameryce Północnej, za ich ojczyznę uważa się Szwecję.

Zapach cynamonu, obok zapachu świerkowych igieł i pomarańczy, tworzy magiczny i niepowtarzalny zapach Świąt Bożego Narodzenia. Ta przyprawa zasłynęła również ze swoich zdrowotnych właściwości - zaraz po goździkach jest przyprawą mającą najwięcej antyutleniaczy.

Przepis jest bardzo prosty, najbardziej cieszy w nim dowolność podczas etapu końcowego - ozdabiania bułeczek (czynność, na którą podczas świąt mamy z pewnością więcej czasu i ochoty).

CZAS I LISTA NA ZAKUPY

Czas przygotowania: do 20 minut pracy własnej + czas wyrastania (ok. 40 minut) + czas pieczenia (ok. 25 minut)
proporcje na 12 bułeczek, ale w zależności od wielkości i kształtu blachy/naczynia ciasto można podzielić na 9-12 części (szczegóły w przepisie)

ciasto:

1 szklanka (200 ml) gorącego mleka
50 g masła (1/4 kostki)
3 łyżki cukru
20 g świeżych drożdży
300 g mąki pszennej typ 500 lub 650
1/4 łyżeczki soli
1 całe jajko

posypka:

4-5 łyżek cukru
1-3 łyżeczki cynamonu (zależy jak cynamonowe mają być bułki; w prezentowanej wersji - 3 łyżeczki)
2-3 łyżki masła



SPOSÓB PRZYGOTOWANIA

Do gorącego mleka dodajemy masło – mieszamy, aż się rozpuści, a mleko przestygnie (będzie mniej więcej w temperaturze ciała). Idzie to dość szybko, bo masło roztopiając się, jednocześnie schładza mleko. Do letniego (= jeszcze ciepłe, ale absolutnie nie gorące) mleka wsypujemy cukier oraz wkruszamy świeże drożdże. Dokładnie mieszamy i odstawiamy na bok, by drożdże lekko ruszyły, odmierzamy pozostałe składniki. Do miski wsypujemy mąkę, sól, po czym dodajemy jajko i dolewamy mleko z cukrem, masłem i drożdżami. I dokładnie wyrabiamy na miękkie, gładkie, elastyczne ciasto – można najpierw łyżką do połączenia składników, potem ręcznie lub mikserem o nakładach do ciasta drożdżowego. Ja zazwyczaj korzystam z miksera. Ciasto ma być miękkie, więc

jeśli „czujemy”, że jest za twarde/sztywne, dolewamy więcej mleka, jeśli za mokre/lejące, dosypujemy trochę mąki, ale zazwyczaj nie trzeba nic dodawać.

WAŻNE: dobre wyrobienie ciasta gwarantuje pulchny wypiek, więc warto chwilę się nad tym pochylić. Wyrobione ciasto przekładamy do miski, przykrywamy i zostawiamy do wyrośnięcia, aż podwoi objętość (30-60 minut w zależności od temperatury na zewnątrz tj. gdy cieplej, rośnie szybciej ;)). By przyspieszyć wyrastanie, można np. wstawić przykryta miskę do rozgrzanego do 50 st. C piekarnika. W czasie, gdy ciasto rośnie, wykładamy papierem do pieczenia naczynie, w którym będziemy piec bułki. Naczynie może być dowolne także takie, gdzie zmieści się 10 bułek (2 rzędy po 5 bułek) lub 9 bułek (3 rzędy po 3 bułki). Wtedy po prostu kroimy ciasto na tyle części, ile chcemy mieć bułek –z tej ilości ciasta będzie to zazwyczaj od 9 większych do 12 mniejszych bułek. Szykujemy od razu także cynamonowy wkład: co naczynia wsypujemy cukier oraz cynamon i dokładnie mieszamy. I roztopiamy masło: całkowicie (=jest płynne) lub nie do końca (=jest bardzo miękkie, półpłynne, idealne do smarowania). Roztopione, ale przestudzone już masło można wymieszać z cukrem i cynamonem. Wyrośnięte ciasto przekładamy na stolnicę i rozwałkowujemy na grubość 1/2 cm, nadając ciastu kształt prostokąta. Smarujemy masłem, posypujemy obficie cynamonowym cukrem i zawijamy ciasto w roladę. Następnie kroimy na równe części (ślimaki) –tyle, ile chcemy mieć bułek, np. 12. Każdy zawijaniec układamy w przygotowanej blasze, zachowując odstępy, bo będą rosły.

Całość szczegółowo pokazane na kanale [Gotuj.Skutecznie.Tv](#)

Blachę wstawiamy do zimnego piekarnika i rozgrzewamy go z bułkami w środku do 180 st. C –czas pieczenia liczymy od momentu, gdy piekarnik osiągnie tę temperaturę i od tej chwili pieczemy bułeczki przez 20-25 minut, a tak naprawdę do czasu, aż się upieką. Pieczemy na drugiej półce od dołu w funkcji grzanie góra-dół. Pod koniec można przykryć kawałkiem folii aluminiowej, by nie zrumieniły się za bardzo – zazwyczaj na 5 minut. Upieczone wyjmujemy z piekarnika, przekładamy wraz z papierem, na którym się piekły na metalową kratkę - ruszt i zostawiamy do ostygnięcia.

Na koniec pozostało nam tylko dodać na wierzch to, na co mamy ochotę (lukier, cukier puder, roztopiona czekolada, skórka pomarańczy).



Chory

Wbrew pozorom
jestem chory na serce
cierpię na arytmie
i zaburzenia krążenia

Wbrew pozorom
jestem chory na głowę
mam stan depresyjny
i huśtawkę nastrojów

Wbrew pozorom
jestem chory na ciele
braknie mi ciepła
i czyjegoś dotyku

Wbrew wszelkim pozorom
jestem przewlekle chory
na ból istnienia
i samotność

Michał Grzywaczewski



Teatr

Wyrzucili mnie na scenę
przekazali co mam mówić
nałożyli na mnie kostium
nie umiałem im odmówić

Ktoś z widowni kichnął, ziewnął
ktoś coś poza sceną szepnął
a ja stałem i mówiłem
zanim mnie z tej sceny zepchną

Aż mi serce się krajało
aż mi z oczu łyzy pociekły
aż zabrakło mi oddechu
póki byłem na nich wściekły

A zmienników wciąż nie było
tylko ten tłum gapiów
tylko ja na deskach
aż mi szybciej serce biło

Wtedy padłem tam zmęczony
i od stresu posiwiwały
przecież staliśmy tam zawsze
przez nasz marny żywot cały

Michał Grzywaczewski



Zespół redakcyjny:

Patrycja Kret, kl. II c
Natalia Małaszuk, kl. II c
Julia Ruszkowska, kl. II c

Oprawa graficzna:

Marcin Korzeniewski, kl. IIc

Opiekun wydania:

mgr Małgorzata Tokarska

Dziękujemy Hubertowi Topolskiemu z kl. III g za pomoc w złożeniu i wydaniu gazetki.